



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Samarytanie w czasie zagłady



Diamenty człowieczeństwa

Narodowy Dzień Pamięci Polaków
ratujących Żydów pod okupacją niemiecką

Może by mi poradził/ rabi Nachman/ ale jak mam go znaleźć/ wśród tyłu popiołów” – zastanawiał się Zbigniew Herbert w wierszu o zagładzie żydowskiego świata zgotowanej przez Rzeszę Niemiecką. W popiele zagłady odnajdujemy jednak diamenty człowieczeństwa. Tych, którzy w świecie zła wybierali miłość do drugiego człowieka, często płacąc za to swym życiem.

Ukazaniu takich postaw heroizmu – w czasach pogardy i śmierci – służy Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką, ustanowiony w dniu zamordowania – 24 marca 1944 roku – rodziny Ulmów: Wiktorii i Józefa oraz ich siedmiorga dzieci: nienarodzonego, Stasi, Basi, Władzia, Franka, Antka i Marysi oraz ukrywanych przez nich żydowskich rodzin Goldmanów, Grünfeldów i Didnerów.

Śmierć za kromkę chleba

Ostrze brutalnego terroru, zaprowadzonego przez Niemców na okupowanych ziemiach polskich od września 1939 roku, zostało przede wszystkim skierowane przeciwko Polakom i ludności żydowskiej. Niecałe dwa lata później III Rzesza Niemiecka podjęła decyzję o tzw. ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej. Pod słowem „rozwiązanie” kryją się miliony ofiar okrutnie zamordowanych przez okupanta.

Niemcy starali się odstraszyć Polaków od niesienia pomocy Żydom. Generalny gubernator Hans Frank wydał 15 października 1941 roku rozporządzenie o karze śmierci dla osób ukrywających ludność żydowską. Później rozszerzono to ustawodawstwo i karano w różny sposób również tych, którzy wiedzieli o niosących pomoc, a nie przekazali takich informacji niemieckim władzom. Prawo to nie obowiązywało na ziemiach zachodniej Europy, okupowanej przez narodowo-socjalistyczne Niemcy. Warto zadać pytanie: jeżeli – jak chcą niektórzy – skala pomocy na ziemiach polskich była nieznaczna, to dlaczego niemieccy okupanci stale zastrzali prawo skierowane przeciwko spieszącym z ratunkiem?

Pomoc miała także instytucjonalny wymiar, wsparcia udzielały władze Rzeczypospolitej na uchodźstwie i struktury Polskiego Państwa Podziemnego, czego jednym z przejawów jest Rada Pomocy Żydom „Żegota”. Zofia Kossak-Szczucka, założycielka Komitetu Pomocy Żydom, na którego bazie powstała później Rada Pomocy Żydom, autorka słynnego „Protestu”, zwracała uwagę, że nawet złożoność relacji polsko-żydowskich nie zwalnia nas z obowiązku pomocy. „Zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni [Żydzi] więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlatego,



Rodzina Ulmów została zamordowana przez Niemców 24 marca 1944 roku

Generalny gubernator Hans Frank wydał 15 października 1941 roku rozporządzenie o karze śmierci dla osób ukrywających Żydów

na jakiej podstawie – to pozostanie tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni. „Nie chcemy być Piłatami” – czytamy w „Proteście”. I nie zabrakło Polaków niebędących Piłatami.

Miłuj bliźniego swego

Instytut Pamięci Narodowej z okazji Narodowego Dnia Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką przypomina takie postawy. Niespełna miesiąc temu uczestniczyliśmy w obchodach 150. rocznicy urodzin matki Matyldy Getter, przełożonej

warszawskiej prowincji Zgromadzenia Franciszkanek Rodziny Maryi. Wraz z siostrami, mimo codziennego zagrożenia życia, stworzyła w centrum stolicy perfekcyjnie działający system pomocy i ukrywania setek dzieci żydowskich. W ubiegłym roku IPN upamiętnił matkę Getter wystawą, tablicą odsłoniętą na murze klasztoru przy ul. Hożej 53 w Warszawie oraz wydanymi publikacjami.

W tym roku chcemy pokazać wysiłek podejmowany przez osoby indywidualne, kapłanów, rodziny. Przygotowaliśmy w całej Polsce do odsłonięcia kilkanaście tablic upamiętniających m.in. księży Stanisława Falkowskiego i Rocha Modzelewskiego, Mieczysława Lachora oraz rodziny Gołębieckich, Klinieckich, Kołoszków, Krawczykowiczów, Laskowskich, Miśkiewiczów, Sobolewskich, Kobylców, Szewczyków, Ruminów, Mików, Trzczańskich, Chorążkiewiczów, Dymków, Chmielów, Bukowińskich...

Oni ryzykowali życiem nie tylko swoim, ale także swoich bliskich. Dodatek do „Naszego Dziennika”, który Państwo otrzymują, opisuje historie niektórych z nich. Jest też wyrazem hołdu złożonego ich poświęceniu i ofierze. ●



DR
JAROSŁAW
SZAREK
PREZES IPN

Kartka cenna jak życie

Najwięcej metryk ukrywającym się Żydom przekazały kancelarie parafialne

Wśród zbiegów z getta Generalnego Gubernatorstwa starających się przeżyć koszmar okupacji znajdowało się wiele osób zasymilowanych, znających doskonale polską kulturę, obyczajowość i obrzędowość katolicką. Szansę na przetrwanie wiązali z przyjęciem fałszywej polskiej tożsamości. Przetwanie wymagało jednak zdobycia dokumentów niewzbudzających podejrzeń Niemców. Najcenniejszym z nich było zaświadczenie o przyjęciu sakramentu chrztu św., nazywane potocznie „metryką”.

Od 1942 r. każdy pełnoletni Polak zatrzymany przez niemiecki patrol na ulicy, w pociągu czy też innym miejscu był zobowiązany do wylegitymowania się kartą rozpoznawczą (kenkartą) ze zdjęciem, odciskami palców i adresem zamieszkania oraz ausweitem, czyli zaświadczeniem o zatrudnieniu. Ponieważ akcja wydawania kenkart opóźniała się, powszechnie tolerowano – zwłaszcza w miasteczkach i na wsiach – legitymowanie się za pomocą metryki chrztu i zaświadczenia o zameldowaniu. Brak tych dokumentów powodował natychmiastowe aresztowanie, co w przypadku Żydów oznaczało początek drogi kończącej się zazwyczaj śmiercią.

Gesty przyjaciół

Dla uciekiniera z getta najprostszym sposobem zdobycia metryki było poproszenie o nią zaprzyjaźnionych Polaków. W powojennych wspomnieniach odnaleźć można liczne ślady takiej pomocy. I tak, nastoletnia Sala Zylberbaum dostała od znajomej Polki metrykę „jakiś zdaje się umarłej dziewczynki”; warszawianin Stefan Bulaszewski podarował Marii Justman metrykę swej siostry; a Szoszana Rakowska z podkrakowskiej Ruszcy otrzymała od Jana Rzepeckiego metrykę jego krewnej, która osiedliła się na Kresach Wschodnich. Mieszkającemu w Kazimierzu nad Wisłą Julianowi Lewensteinowi zaprzyjaźnieni Polacy ofiarowali metrykę Aleksandra Kosidło, który przed wojną wyemigrował do Stanów Zjednoczonych; Józef Mützenmacher ze Lwowa otrzymał metrykę Jana Kota – żołnierza Wojska Polskiego, który zaginął bez wieści we wrześniu 1939 r. Zbiega poinformowano, że rodzice mężczyzny wiedzą o mistyfikacji i w razie potrzeby zaświadczą, że Jan Kot powrócił do domu. We wszystkich tych przypadkach ofiarodawcy nie oczekiwali za swą postawę jakiegokolwiek wynagrodzenia.

W każdym przypadku obdarowani mieli świadomość, że ich dobroczyńcy narażają się na represje ze strony Niemców. Niewielka kartka była wręcz bezcenna, dając realną szansę na uratowanie życia. Wycieńczony i wygłodniały uciekinier z obozu pracy przymusowej Michał Chęciński, który przyznał się Polakowi Bronisławowi Słabemu, że jest Żydem, opowiadał po latach: „Mam pomysł» – mówi z przekonaniem Broniek. »Kiedy się urodziłeś?«. »W 1924«. »Fajno«. Jeden Ruski zapomniał u mnie świadectwo urodzenia. Nazywał się Mikołaj Sadowski, to takie niby polskie nazwisko. Tylko że on urodził się w 1905 roku w Odessie. Ale Niemcy i tak nie wiedzą, gdzie ta Odessa. Ja wydrapię to zero troszkę i będzie 1925 rok urodzenia. Akurat dla ciebie. I będziesz za tego Mikołaja, rozu-

miesz?». Następnego dnia na podstawie sfałszowanej metryki Michał Chęciński uzyskał od Niemców zaświadczenie o podjęciu pracy. „Własnym oczom nie wierzę, jak łatwo przyznać mi prawo do istnienia na tej ziemi – wspominał. – Co ja bym bez ciebie zrobił, Broniek?».

Pomoc w parafiach

Miejscami, z których pochodziło najwięcej metryk przekazanych ukrywającym się Żydom, były kancelarie parafialne. Odkrycie przez Niemców sfałszowanej metryki opatrzonej prawdziwą pieczęcią parafii i podpisem proboszcza groziło natychmiastową reakcją funkcjonariuszy Gestapo. Pomimo stałego zagrożenia pomoc taką podejmowało wielu duchownych. Najbardziej zapamiętano postać ks. Marcelego Godlewskiego, proboszcza parafii Wszystkich Świętych, która znajdowała się w granicach warszawskiego getta. Ale pomocy zbiegom z getta udzielali także inni duchowni, np. ks. Stefan Podsjedlik z Miechowa czy ks. Ludwik Barski z Ciepeliowa. Jeżeli nawet proboszczowie nie pomagali wprost, często tolerowali nielegalną działalność swych współpracowników i znajomych. „Poszedłem do parafii w Podgórzu do księdza proboszcza Józefa Niemczyńskiego – wspominał jeden ze świadków. – Znał mnie od małego; kręciłem się po parafii, kościelny się odwracał i ja wtedy kradłem blankiety metrykalne, podbijałem pieczętki, faksymilkę księdza proboszcza. Drugi ksiądz, Stanisław Mazak, wypisywał te metryki po łacinie”.

W największych parafiach wydawaniem wypisów z ksiąg parafialnych zajmowali się nie tylko księża, lecz także sekretarze, a w niektórych wypadkach również członkowie ich rodzin. Warszawianin Stanisław Szymański wspominał, że dysponując ogólnymi informacjami o osobie, której należało wyrobić dokumenty, kontaktował się z Feliksą Piotrowską – żoną organisty

**Warszawianin
Stefan Bulaszewski
podarował Marii Justman
metrykę swej siostry**

kościółka pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny na Starym Mieście. Wyszukiwała ona w aktach dane zmarłych osób, które pasowały do „zapotrzebowania”, a następnie sporządzała ich metryki.

Z kolei Bronisław Nietyksza opowiadał po latach: „Miałem zorganizowane dwie parafie rzymskokatolickie – jedną na placu Trzech Krzyży (św. Aleksandra), drugą zaś na pl. Narutowicza (św. Jakuba). Miałem



ks. **Marceli Godlewski**, proboszcz parafii Wszystkich Świętych, która znajdowała się w granicach warszawskiego getta

umowę z proboszczami i sekretarzami tych parafii, żeby nie wystawiali aktów zgonu osobom zmarłym w wieku 18-60 lat, pozostawiając ich w aktach osób żyjących w danej parafii. W wypadku potrzeby wystawienia kenkarty osobie pochodzenia żydowskiego jako aryjczykowi, wówczas dobierało się odpowiednie zaświadczenie urodzenia osoby już zmarłej, ale nieusuniętej z ksiąg osób żyjących. W ten sposób osoby te uzyskiwały autentyczne i formalnie prawdziwe dokumenty”.

Zamiast zakończenia

Dla niektórych osób otrzymanie szansy na dalsze życie było wręcz cudem, połączonym z doświadczeniami wykraczającymi poza racjonalne rozumowanie. Niezwykle brzmi wspomnienie nastoletniego Jakuba Michlewicza, który po ucieczce z getta warszawskiego ukrywał się na wsi koło Piaseczna, udając Polaka. Opowiadał: „Po jakimś czasie powiedział mi gospodarz, żebym pojechał po metrykę. Dwa razy jechałem do Warszawy do znajomych Polaków, [ale] nie chcieli mi metryki dać. Za trzecim razem gospodarz powiedział: »Musisz przywieźć metrykę, a będę cię trzymał, chociażbyś był Żydem, ale jak nie będziesz miał metryki, to w ogóle do mnie nie wracaj«. Ze zmartwienia nie mogłem spać, a gdy zasnąłem, przyśniła mi się Mamusia i kazała mi iść do jednego chłopca, z którym myśmy dawniej razem mieszkali, a on mi da metrykę. Pojechałem i ten chłopak wykupił metrykę i mi dał. Z metryką wróciłem do gospodarza. Był jeszcze kłopot, bo wołali mnie Jasiu, a w metryce był zapisany Ryszard. Ale ja powiedziałem, że to matka mnie tak nazywała”.

Nazwisko nastoletniego Ryszarda, który zdecydował się pomóc żydowskiemu koledze, pozostanie zapewne już na zawsze nieznanne. Tak samo jest w przypadku wielu osób, które w godzinie największej próby postanowiły udzielić pomocy swym bliźnim. ●

Autor jest pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Lublinie. Delegatura w Radomiu.



DR HAB.
**SEBASTIAN
PIĄTKOWSKI**
IPN LUBLIN

Z pomocą żydowskiemu sąsiadowi

Historia bohaterskiej rodziny Babiarzów z Izbicy

W okresie międzywojennym położona na Lubelszczyźnie Izbica była specyficznym miasteczkiem. Wskutek zaszczości historycznych osiedlali się w nim niemal wyłącznie Żydzi. Według danych ze spisu powszechnego z 1921 roku, stanowili oni 92 procent mieszkańców.

Wraz z zajęciem Polski przez Niemców w 1939 roku warunki życia ludności żydowskiej uległy znaczącej zmianie. Od początku okupacji niemieckiej z racji dogodnych połączeń komunikacyjnych oraz żydowskiego charakteru miasteczka Niemcy utworzyli w nim punkt zbiorczy dla Żydów z terenów całej Polski. Już w grudniu 1939 roku przesiedlili tutaj Żydów z Koła i Łodzi, a w następnych latach z Częstochowy, Kalisza, Głowna, Konina czy Lublina.

Wiosną 1942 roku wraz z rozpoczęciem akcji Reinhardt wywieziono część żydowskich mieszkańców do obozu zagłady w Bełżcu, a na terenie osady utworzone zostało tzw. getto tranzytowe, przeznaczone dla Żydów z Czech, Moraw, Rzeszy Niemieckiej oraz Austrii.

1 listopada 1942 roku Izbica została otoczona przez oddziały SS oraz ukraińskich SS-manów z Trawniki i rozpoczęła się likwidacja getta tranzytowego. Osadzonych w nim Żydów wysłano transportami kolejowymi do Bełżca i Sobiboru. Wielu zostało zamordowanych na miejscu lub rozstrzelanych w ciągu następnego dnia w masowych egzekucjach na miejscowym kirkucie.

Z narażeniem życia

W czasie likwidacji getta udało się uciec młodemu żydowskiemu chłopakowi – Chananowi Lipszycowi, który przetrzymywany był w budynku miejscowego kina. Nastolatek szukał pomocy u swoich polskich sąsiadów. Późnym wieczorem zastukał do domu państwa Babiarzów. Ich domostwo znajdowało się około 200 metrów od niemieckiego posterunku policji i Gestapo. Przestraszonego, wygłodniałego, brudnego i całkowicie przemokniętego chłopaka przygarbiona Kazimiera Babiarz.

Państwo Babiarzowie mieli niewielkie gospodarstwo w Izbicy i byli właścicielami jedyne polskiego młyna w miasteczku. Chanan znał ten adres, bowiem już wcześniej jego rodzina otrzymywała od Babiarzów różnego rodzaju pomoc. Matka Chanana Lipszyca, Henocha, posyłała chłopaka do młyna po mąkę, z której robiła cebularze na sprzedaż wśród mieszkańców getta.

Tamtego tragicznego wieczoru pani Kazimiera Babiarz sama zdecydowała o tym, że należy pomóc żydowskiemu chłopcu i przekonała do tego swojego męża oraz dzieci. Cała rodzina musiała zadbać o jego bezpieczeństwo oraz zapewnić mu pożywienie, co w warunkach okupacyjnych nie było sprawą łatwą.

Córka państwa Babiarzów, Halina Błaszczyk, tak po latach wspominała pierwsze tygodnie spędzone przez Chanana Lipszyca w ich obejściu: „My siedzimy wieczorem, a tu ktoś puka. To był Chanan, brudny, zarośnięty, śmierdzący. Mama gdzieś nawyciągała jakiś kurtek i mówi: »Umyj się, prędko, prędko«. A za drogą mieliśmy takie kopce na kartofle. Tam zanieśliśmy mu koce. No to od listopada do wiosny siedział w tym kopcu. Siedział – no co było robić. Nie wychodził, bo baliśmy się. Nosiło mu się jeść, wylewało brudy. A on siedział. Ale na wiosnę to on mówi: »Halina, ja muszę



Pani Halina Błaszczyk (w środku) na spotkaniach opowiada o wojennej przeszłości swojej rodziny

trochę wyjść, bo zwariuję«. Ja mówię: »Jeśli nie zwariowałeś, to nie zwariujesz«”.

Nikt nie wydał

Sama kryjówka była dobrze pomyślana, ale ciągłe przebywanie w zamknięciu i w ciemności sprawiło, że Chanan zaczął ślepnąć. Po licznych prośbach chłopca postanowiono, że wiosną w piwniczce będzie przebywał jedynie za dnia, a nocą dotrzyma towarzystwa zaprzyjaźnionemu z rodziną Babiarzów stróżowi Janowi, który pilnował składziku drewna obok młyna. Przez kilka następnych tygodni Chanan egzystował w taki sposób.

Niemcy [...] wpadli do domu i ustawili wszystkich pod ścianą. Ciężko pobili ojca rodziny, Maksymiliana Babiarza

Niestety, ktoś doniósł do Niemców, że w pobliżu młyna kręci się prawdopodobnie jakiś żydowski zbieg. Pewnej nocy niemieccy policjanci weszli na teren gospodarstwa Babiarzów i próbowali przemocą wydobyć od stróża informacje o Żydzie, z którym ten podobno rozmawiał. Mężczyzna do samego końca kłamał, że nie wie, o co chodzi, że zaszła jakaś pomyłka i najpewniej ktoś go fałszywie oskarżył.

Niemcy przeprowadzili rewizję zarówno we młynie, jak i w całym obejściu. Bezskutecznie dzgali bagnietami słomę i siano. Chanan przepadł jak kamień w wodę. Skoczył do obory za krowy i ukrył się pod żłobem. Zwierzęta bały się latarek, stoczyły się wokół żłobu i zakryły go.

Niemcy nie znaleźli chłopca, więc wpadli do domu i ustawili wszystkich pod ścianą. Ciężko pobili ojca rodziny, Maksymiliana Babiarza, grozili aresztowaniem

domowników, a stróża aresztowali. Rodzinie Babiarzów udało się po kilku tygodniach wykupić go z aresztu za dużą łapówkę.

Po ucieczce z posesji państwa Babiarzów Chanan przez prawie miesiąc ukrywał się w psiej budzie u ich kuzynów. Ci o tym nawet nie wiedzieli. Chłopak przeżył, podkradając jedzenie z psiej miski. Po jakimś czasie Chanan Lipszyc pojawił się znowu w domu Babiarzów, ale tylko po to, by pokazać im, że żyje. Nastolatek wiedział, że nie może już tutaj przebywać, bo naraziłby na niebezpieczeństwo ludzi, którzy tyle dla niego ryzykowali. Do końca okupacji niemieckiej tylko sporadycznie zaglądał do obejścia Babiarzów, a schronienie znalazł w leśnym oddziale partyzanckim operującym nieopodal sąsiedniej wsi Ostrzyca.

Wdzięczność

Po wojnie Chanan Lipszyc wyemigrował do Izraela. Wcześniej jednak przyjechał do Izbicy, by pożegnać się ze swoją mamą, jak nazywał panią Kazimierę oraz z całą rodziną Babiarzów. Po wyjeździe utrzymywał kontakt listowny ze swoimi wybawcami oraz przysyłał im paczki. Te były opatrzone napisem: „Dla Mamy”. To z jego inicjatywy Kazimiera Babiarz wraz z córką Haliną zostały w 1985 roku odznaczone medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Pani Halina Błaszczyk tak wspominała to wydarzenie: „Mama miała wówczas 87 lat i nie mogła pojechać. Do Izraela pojechałam razem z mężem. Ja odebrałam medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata i zasadziłam drzewko”.

Jedną z najcenniejszych pamiątek z tego wydarzenia w rodzinnym archiwum, oprócz medalu i dyplomu Sprawiedliwych, są fotografie, na których państwo Błaszczykowie z Chananem Lipszycem i jego synem podlewają małą sadzonkę w ogrodach w Yad Vashem. Gdy w czasie jednego ze spotkań z młodzieżą zapytano panią Halinę: „Dlaczego to robiliście?”, odpowiedziała prosto: „Człowiek był z nimi zżyty”.

Autor jest pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Lublinie.



DR
**JANUSZ
KŁAPEĆ**
IPN LUBLIN

Zapomniani Sprawiedliwi

Paweł i Wiktoria Trzcinińscy – zamordowani za pomoc Żydom

Biłgoraj przed II wojną światową był typowym powiatowym miastem na Lubelszczyźnie. Na ponad 8300 mieszkańców Żydów było około 5000. We wrześniu 1939 roku Biłgoraj został najpierw zajęty przez Niemców, a potem na kilkanaście dni przekazany Sowiecom. To wówczas doszło do szeregu wystąpień niewielkiej części społeczności żydowskiej przeciwko Polakom i niektórym współziomkom Żydów. Te wydarzenia odbiły się na relacjach polsko-żydowskich.

Gdzieś na uboczu wielkiej historii żyła rodzina Trzcinińskich. Paweł Trzciniński, pracownik urzędu skarbowego wraz z żoną Wiktoria (w wielu miejscach występuje też pod imieniem Wisława) mieszkali w Biłgoraju jeszcze przed wybuchem wojny. W czasie okupacji Trzciniński stracił pracę i jak wielu Polaków trudnił się różnymi zajęciami, by utrzymać rodzinę. Początkowo handlował m.in. naftą, kursując między Lubelszczyzną a terenami po drugiej stronie Sanu. W tym okresie Trzcinińscy pomagali innym Polakom, którzy potrzebowali schronienia. Jak wspominała ich córka Gabriela, taką osobą był m.in. ks. Samolej.

Później Paweł Trzciniński otrzymał koncesję na skup surowych skór, które miał odwozić do Lublina. Dzięki temu mógł zatrudnić do pracy w swoim zakładzie Żydów i tak też się stało. Wraz z narastającymi represjami wobec ludności żydowskiej Niemcy zaczęli nalegać na Trzcinińskiego, aby zwolnił wszystkich Żydów. Sobie znanymi sposobami, grając na zwłokę i przekonując Niemców, że nigdzie indziej nie znajdzie takich fachowców, udało mu się zatrudniać te osoby aż do „ostatecznego rozwiązania”.

Bezinteresowna pomoc

2 listopada 1942 roku rozpoczął się ostatni etap zagłady biłgorajskich Żydów. Tego dnia całą społeczność stłoczono w jednym miejscu, a następnie wywieziono na śmierć do obozu w Bełżcu. W Biłgoraju pozostali jedynie ci Żydzi, którzy ukrywali się w przygotowanych wcześniej kryjówkach.

W budynku, w którym działał skup skór (na ul. 3 Maja), Żydzi zorganizowali sobie skrytkę, montując w magazynie podwójną ścianę. Przebywały i ukrywały się tam dwie rodziny (ich liczebności nie znamy). Wiemy, że głową jednej z nich był Chaskiel Kandel. Alina Skibińska podaje dane jeszcze jednej osoby: Dawida Szlafroka, który również miał ukrywać się z rodziną.

Wiadomo, że wśród ukrywających się było małe dziecko. Trzcinińscy nie podjęli się przechowania tego malucha u siebie, żeby nie budzić zainteresowania ludzi, którzy licznie przychodzili do nich w interesach. Oprócz prowadzenia działalności handlowej u Trzcinińskich znajdował się zakazany przez Niemców odbiornik radiowy – na słuchanie audycji schodziło się kilka-kilka osób. Ponadto w ich domu prowadzono także tajne nauczanie, również zakazane przez Niemców. Wiemy również, że Paweł Trzciniński był żołnierzem Armii Krajowej. Sam dom Trzcinińskich znajdował się w centrum miasta, u zbiegu obecnych ulic Tadeusza Kościuszki i Wandy Wacek-Wasilewskiej.

Trzcinińscy dokarmiali przez cały czas grupę ukrywających się Żydów. Wiktoria codziennie nosiła im żywność (np. kaszę). To nieliczne informacje, jakie posiadamy o formie pomocy tej rodziny. Wiemy, że Żydzi ukrywali się od jesieni 1942 roku, czyli przynajmniej kilka miesięcy.



Dom Trzcinińskich po kilku miesiącach został przejęty przez Gestapo na ich główną siedzibę w Biłgoraju

FOT. D. SKAKUJ

W rękach Niemców

Do dziś nie jesteśmy w 100 procentach pewni, co przyczyniło się do śmierci ukrywających się Żydów i pomagających im Polaków. Gabriela Trzcinińska tak wspominała tragiczny dzień 17 lutego 1943 roku:

„Żydzi mieli jedną wadę: jeżeli było niebezpieczeństwo, to oni zamiast siedzieć cicho, to wtedy było aj-waj, aj-waj. I to było powodem, że przez tę ścianę z grubych desek musieli usłyszeć – bo tak mi opowiadał taki pan Stach, który też tam pracował po tym, jak już Żydów wyeliminowali z życia takiego

świadków podczas egzekucji próbowali uciekać. Pochowani zostali na cmentarzu w Biłgoraju przy ul. Lubelskiej (sektor V, rząd 6, nr grobu 8).

Od śmierci uratowała się nastoletnia córka Gabriela. Przebywała wówczas u rodziny, która mieszkała w tym samym budynku, ale w oddzielnym pokoju. Aresztowany Paweł Trzciniński powiedział Niemcom, że ta rodzina i Gabriela nie są z nimi w żaden sposób powiązani. Dzięki temu dziewczyna przeżyła. Do końca wojny Gabriela musiała się ukrywać, najpierw u kilku rodzin w Biłgoraju, a następnie w Lublinie i Warszawie. Była poszukiwana przez Niemców. Dzięki zaangażowaniu wielu osób przeżyła wojnę i wróciła do Biłgoraja. Zmarła w 2018 roku.

Trzcinińscy dokarmiali przez cały czas grupę ukrywających się Żydów

codziennego, już nie pracowali u rodziców. Opowiadał mi, jak doszli do tego, że tam Żydzi byli ukryci. Przyszedł gestapowiec – podobno, nie twierdzą, że tak było – do tego magazynu i jak Żydzi usłyszeli tę rozmowę niemiecką, to zaczęli tam niektórzy płakać, tak jak to oni mieli w zwyczaju, lament ogromny. I podobno w ten sposób doszli do tego”.

Gabriela Trzcinińska przypuszczała, że prawdopodobnie przed śmiercią Żydzi, po niemieckich obietnicach wypuszczenia na wolność, wskazali Wiktoria Trzcinińską jako osobę, która ich karmiła.

Niemal natychmiast ukrywający się Żydzi zostali rozstrzelani.

Jest także inna wersja wydarzeń – choć bez jakiegokolwiek potwierdzenia. Mówi ona, że Niemcy dowiedzieli się o kryjówce z donosu zazdrosnego o skup konkurenta. Dochodzenie w tej sprawie prowadził wywiad Armii Krajowej, a po wojnie komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Nie udało się jednak w żaden sposób potwierdzić tej wersji.

Aresztowani Paweł i Wiktoria Trzcinińscy od razu trafili do więzienia, gdzie byli torturowani. Zarekwirowano także cały ich majątek rodzinny.

Małżeństwo Trzcinińskich po krótkim, ale ciężkim śledztwie, podczas którego bardzo skatowano Wiktoria, zostało rozstrzelane 2 marca 1943 roku. Według

Pamięć powraca

Co ciekawe, historia rodziny Trzcinińskich pojawiła się na kartach książki „Dalej jest noc”. Niestety, autorka rozdziału o powieści biłgorajskim, Alina Skibińska, jako jedyną hipotezę dotyczącą śmierci Żydów i Trzcinińskich, podała wydanie ich przez jakiegoś Polaka. Z książki nie dowiemy się jednak, że świadek, czyli córka Trzcinińskich, jednoznacznie podkreśliła inną, wspomnianą wyżej przyczynę, czyli panikę, w jaką wpadli ukrywający się Żydzi, a Polacy nie mieli nic z tym wspólnego.

Zmanipulowana historia dotycząca okoliczności śmierci Trzcinińskich znajduje się także na stronie poświęconej Sprawiedliwym, prowadzonej przez Muzeum Historii Żydów Polskich. Mimo, że jest to łatwa do weryfikacji informacja.

Dom Trzcinińskich po kilku miesiącach został przejęty przez Gestapo na ich główną siedzibę w Biłgoraju. W tym miejscu Niemcy przetrzymywali aresztowanych Polaków, torturując i mordując ich w piwnicach. Dziś wspomina o tym tablica pamiątkowa.

W tym roku staraniem Instytutu Pamięci Narodowej obok biłgorajskiego kirkutu stanie granitowa tablica poświęcona rodzinie Trzcinińskich. ●



DR
RAFAŁ DRABIK
IPN LUBLIN